ROZMAITOŚCI.

Dnia 27. Sierpnia. № 35. Roku 1856.

ŚCIEŻKA PODZIEMNA.

Byłoto dawno, bardzo dawno, kiedy jeszcze rycerze wyprawiali się w świat na przygody. Młody Odolan z Krzysztalny, pan mnogich włości, rycerz głośnej sławy i niezwyciężonego oręża, opuścił niespodzianie rodzinny zamek, i wyprawił się w długą podróż przygodną. Przyśniło mu się przed dni niewielą, że zagnany przypadkiem w jakieś dalekie strony, poznał tam młodą, piękną dziewicę, do której serce jego namiętną zapłonęło miłością. Nadobna dziewica nie taiła mu swojej wzajemności, a ośmielony tem rycerz zdołał uwieźć ją zpod władzy srogiego opiekuna, i poślubić uroczyście przed ołtarzem Boga. Cały ten sen był tak jasny i żywy, że głos kochanki i na jawie dźwięczał mu słodko w uszach, a każdy rys jej oblicza, każdy ruch jej postaci, tkwił mu wiernie w pamięci. I nie miał już odtąd spokoju zakochany w sennem widziadle młodzieniec. Niewidoma jakaś siła wytrącała go z domu, ciągnęła w dal, rwała w podróż błędną. Sen ten wydał mu się jakąś wieszczbą szczęśliwą, objawem przyszłej niezawodnej rzeczywistości. Postanowił przetoż opuścić swój zamek, i w towarzystwie jednego tylko sługi, wiernego i doświadczonego Ścibora, umyślił szukać uporczywie ziszczenia swojego snu. Atoli nie byłoto tak łatwo, jak mu się w pierwszej wydało chwili. Już kilka miesięcy błąkał się bez wytchnienia po kraju, przejechał wzdłuż i wszerz całą ojczyznę, zagnał się nawet w jakieś strony obce, nieznane, a nie dostrzegł nigdzie najmniejszego śladu swojej wyśnionej kochanki.

Już zwątpił był o wszystkiem, już myślał nawet o powrocie do domu, gdy pewnego dnia ujrzał przed sobą jakiś wielki, warowny zamek. Chciał właśnie bliżej przypatrzyć się jego wspaniałej budowie i obronnym murom, gdy u zakratowanych okien lewego skrzydła ukazała się naraz dziewicza postać w bieli. Odolan zadrżał na całem ciele, serce uderzyło mu gwałtowniej, oko rozpromieniło się szczęściem i radością — owa kobieca postać w bieli, byłato postać poznanej we śnie kochanki. I ona też spoglądała uradowanem okiem na twarz młodziana, bo i ona poznała w nim kochanka, którego podobnież widziała we śnie niedawno, i pokochała. Chcąc tedy objawić mu swoje współczucie, zanuciła zza kraty wesołą piosnkę miłosną. Odolan zaś udał, że nie słyszy bynajmniej śpiewu, i wszedł na podwórzec zamkowy, żądając aby go stawiono przed obliczem pana zamku. Byłto głośny na całą okolicę grododzierzca Jaromir, możny, surowy starzec, opływający w bogactwa i dostatki. Owdowiały przed kilką laty chciał on wejść teraz w powtórne śluby małżeńskie, i rzucił oko na rękę młodej szesnastoletniej Elżbiety, swojej własnej wychowanicy, bawiącej od niedawnego zgonu rodziców pod jego samowładną opieką, w jego murach warownych.

Atoli młoda Elżbieta wzdragała się nierównego małżeństwa z podeszłym w latach opiekunem, i imwięcej wzmagała się jego namiętność, temsilniej rosła jej niechęć. Byłoto za wiele dla dumnego Jaromira. On, przed którego wolą wszystko się korzyć musiało, nie miał pobłażania dla odrazy szesnastoletniego dziewczęcia. Nuż więc puszczać wodze rozpasanemu gniewowi, nuż wymyślać środki do złomania oporu dziewczyny, i zniewolenia jej do swoich zamiarów. Najodleglejszy narożnik zamku przeistoczono w więzienie, nie mające równego sobie pod względem warowności. Okna kazał Jaromir opasać siedmioraką kratą żelazną, a u wnijścia postawić ośmnaście żelaznych drzwi, każde o dwóch kłódkach i jednym zamku. Wtrąciwszy tam piękną Elżusię, przysiągł surowy starzec, że nie pierwej uwolni ją z więzienia, aż zrzeknie się swojego uporu, i przed ołtarzem poślubi mu posłuszeństwo małżeńskie. Będąc przytem niezmiernie podejrzliwym, nie ufając nikomu z domowników, a lękając się każdego cienia niebezpieczeństwa, sam we dnie i nocy czuwał nad więzieniem Elżusi, i nosił zawsze klucze przy sobie.

Owoż przed niegoto wprowadzono teraz Odolana, który mieniąc się prześladowanym przez możnych nieprzyjaciół, i z mienia wyzutym przez nich, prosił o gościnne przyjęcie w murach zamku. Jaromir zmierzył przybysza od stóp do głowy, uśmiechnął się z uciechy na widok jego śmiałej i udatnej postawy, jego męskiego i marsowego oblicza, i rzekł po chwili:

„Przybywasz w porę, waleczny młodzieńcze! Odzwyczaiłem po troszę ramię od miecza; toż i moi nieprzyjaciele urośli znowuż w butę, a zgraja łotrzyków osiadła mi tuż pod zamkiem, i łupi moich poddanych, i zasadza się na podróżnych. Postawię cię zatem na czele zbrojnych, a spodziewam się, że dojmiesz pysze moich wrogów, i ukrócisz swawolę łotrzyków."

Odolan skłonił się nisko, i z nietajoną radością wstąpił w służbę możnego pana. Czyniąc to jedynie z miłości ku Elżbiecie, umyślił on ustalić się najpierwej w zajętem stanowisku, a potem pójść za natchnieniem serca. Jakoż dawna jego waleczność, podsycana świeżą miłością, objawiła się wkrótce szeregiem świetnych czynów. W przeciągu trzech miesięcy ukorzył Odolan nieprzyjaciół Jaromirowych, wytępił do szczętu zgraje łotrzyków, oczyścił gościńce z łotrowskich zasadzek, i ustalił wszędzie porządek i bezpieczeństwo. Uradowany grododzierzca mianował go w nagrodę tak wielkich zasług marszałkiem zamku, zaszczycał go oddtąd jaknajwiększem zaufaniem, i obsypywał hojnie rozmaitemi darami.

Z uskarbieniem sobie łaski i zaufania Jaromira, mógł Odolan snadniej już przystąpić do wykonania dzieła, i w pomyślnej chwili oswobodzić uwięzioną kochankę. Wnet też zabłysła mu myśl szczęśliwa, a uradowany pospieszył niezwłocznie do Jaromira, z prośbą, aby mu pozwolił wybudować sobie mieszkanie w ogrodzie pod bokiem zamku, gdzieby oddalony od gwaru służby, mógł użyć wczasu niekiedy.

Jaromir nie śmiał odmówić ulubieńcowi takiej drobnostki, i przyzwolił bez wszelkiej zwłoki. Zabrał się tedy Odolan natychmiast do budowy zamierzonego mieszkania, i w krótkim czasie doprowadził ją do końca. Gdy już wzniósł się dach nad ścianami, wymógł kochanek Elżusi na pewnym zręcznym murarzu, iż za spory trzos złota podjął się wymurować aż do więzienia dziewiczego tajemną ścieżkę podziemną. W jedenastu dniach była cała praca wśród niesłychanych trudów ukończoną zupełnie. Misterne schody prowadziły aż do komnaty Elżbiety, gdzie gruby kobierzec tak zręcznie rozścielił się nad wyłomem w podłodze, iż nikt nie mógł najmniejszego zaczerpnąć podejrzenia. Tą drogą zeszli się niebawem kochankowie, i obsypując się czułościami bez miary, wymieniali wzajem najświętsze przysięgi i przyrzeczenia. Przy pożegnaniu podała Elżbieta Odolanowi jako zakład miłości prześliczny pierścień z brylantem.

Z pierścieniem swoim na palcu, pospieszył Odolan do Jaromira, a rozmawiając z nim, tak długo obracał rękę ku słońcu, aż póki podejrzliwy pan zamku nie postrzegł kosztownego sygnetu. Blednięjąc poznał on tensam klejnot, który dniem wprzódy widział na ręce Elżbiety. Okropnem rażony podejrzeniem, urwał starzec zaczętą rozmowę, i pobiegł do więzienia Elżusi. Zanim jednak uspiał zdążyć na miejsce, i poodmykać wszystkie zamki i kłódki, stanął już Odolan swoją ścieżką podziemną u boku kochanki, zatknął jej pierścień na palec, i złożywszy gorący pocałunek na ustach, powrócił tążsamą droga do mieszkania w ogrodzie. Tuż za jego odejściem wpadł z trzaskiem Jaromir do Elżusi, i kazał pokazać sobie pierścień, noszony zwyczajnie na drugim palcu lewej ręki. Elżbieta udawała przez dłuższy czas oburzenie na tak gwałtowne najście starego opiekuna. W końcu przecież pokazała w milczeniu pierścień, który koniecznie chciał widzieć. W oka mgnieniu uśmierzyła się trwoga starca, rozlała mu się radość po twarzy, i mruknął sam do siebie:

„Jakże mogłem nie wpaść zaraz na domysł, że dwa pierścienie mogą być we wszystkiem podobniuteńkie do siebie!"

I uleczony z wszelkiego podejrzenia, powrócił do swoich komnat, nazajutrz zaś rano chciał w towarzystwie Odolana i całego dworu wybrać się na łowy. Lecz kochanek Elżusi rzekł:

„Przebacz cny panie! Właśnie co otrzymałem gońca od mojej narzeczonej. Pospiesza ona dać mi wiadomość, iż nieubłagani niegdyś wrogowie moi powrócili mi nakoniec cały zagrabiony majątek, i sami do pojednania dłoń mi podają. Srogi wszelako mór panuje w stronach mojej ojczyzny. Dlatego nie chce narzeczona moja oczekiwać mnie w domu rodzinnym, lecz sama naprzeciw mnie wyjechała. Jeszcze dzisiaj stanie w twoim zamku gościnnym, ufna twojej dla mnie przyjaźni. Jutro rano połączymy się ślubem małżeńskim, i opuścimy progi twoje na zawsze.

Owoż jeśliś i teraz równie łaskaw na sługę twego, tedy racz dzisiejszą jego wieczerzę zaszczycić swą obecnością, a sprawisz mu zaszczyt nie mały.

Jaromir przyrzekł odwiedzić wieczorem mieszkanie swojego żegnającego na zawsze marszałka, i nie zapomniał o przyrzeczeniu. Ze zmrokiem stanął z licznym orszakiem w domu Odolana, który zaraz przedstawił mu swoją narzeczoną. Ale — o dziwy! Senże — to czy rzeczywistość?! Zazdrosny starzec struchlał na widok przedstawionej. Byłato dziewica piękna jak anioł, w przepysznej sukni jedwabnej, z zgrabnie utrefionym włosem. Na palcach jej połyskiwały drogie pierścienie, łabędzią szyję zdobiły bogate sznury pereł, długa zasłona spadała ze skroni na ramiona, a kibić całą okrywała zarzutka o złotym hafcie. A, wszystko — i strój — i klejnoty — i twarz — i postać cała — byłato jednem słowem — postać Elżusi.

„Czyż podobna! czyż podobna!“ mruczał starzec w rozpaczy. „Ośmnaście drzwi — każde o dwóch kłódkach i jednym zamku! Zdołałażby Elżbieta przełamać je wszystkie, i umknąć, i teraz jeszcze stawić mi się przed oczy!“

I w sporze z sobą samym, usiadł jak na kolcach do stołu, i cały czas nie spuszczał oka z nadobnej narzeczonej. Podobieństwo między nią a Elżusią było tak jawne, tak łudzące, że zimny pot występował na czoło starca, i drżał cały jak listek. Zaledwie skończyła się wieczerza, porwał się srodze udręczony biesiadnik z miejsca, i pospieszył do zamku. Tam otwarłszy z trzaskiem wszystkie drzwi ośmnaście, wpadł zadyszany do komnaty Elżusi — i o nowe, o równie wielkie dziwo! Dziewczę spało spokojnie na swojem łożu, spało snem cichym i głębokim, i ani przez sen nie zdawało się myśleć o ucieczce z więzienia.

Jaromir odetchnął ciężko, a otrząsłszy się z swojej trwogi, mruknął do siebie:

„Co za osobliwsze podobieństwo! Ale dlaczegożby dwie kobiety nie miały być równie podobne do siebie, jak dwa pierścienie!“

I uspokojony zupełnie, przespał noc jaknajlepiej. Śniło mu się zaś, iż przełamał się nareszcie upor Elżbiety, że sama ku niemu wyciągała ramiona, że ją prowadził przed ołtarz. Nazajutrz rano stanął przed nim Odolan, i kłaniając się nisko, zaniosł prośbę do Jaromira, aby raczył mu starostować przy dzisiejszym obrzędzie ślubnym. Chętnie zezwolił na to starzec, bo wielce miłował Odolana, a i narzeczona jego podobała mu się niezmiernie. Rozpoczął się więc obrzęd ślubny; państwo młodzi przybyli w weselnych szatach do kaplicy zamkowej, i uklękli u stóp ołtarza. Kapelan pobłogosławił szczęśliwej parze, wymienił obrączki, i w obec Boga i ludzi związał na zawsze dwa kochające się serca. Stary pan zamku cieszył się z całego serca szczęściem oblubieńców, a pełniąc powinności starosty, żałował jedynie tak prędkiego odjazdu nowożeńców. Posunął się nawet do tego stopnia w swojej łasce i uprzejmości, że z całym orszakiem zamkowym odprowadził młode małżeństwo o dwie mile za bramy. Wtedy żegnając ich jeszcze raz najserdeczniej, ponowił kilkakrotnie życzenia szczęśliwej podróży i błogiego pożycia małżeńskiego. Poczem powrócił stępem do zamku.

Nie długo atoli utaiła mu się smutna rzeczywistość. W godzinę po powrocie wiedział już o wszystkiem. Wściekłość jego z początku była bez granic. Zżymał się jak opętany, i chciał sam ścigać zbiegów. Przekonawszy się jednak, że wszystko już stracone, że wszelka pogoń byłaby nadaremną, stłumił w sobie gniew i zmartwienie, a starając się wszelkiemi siłami zapomnieć cały wypadek, nie pomyślał nigdy więcej o ożenieniu przy siwych włosach i steranych latami siłach.

PRZYGODY NA DNIE MORZA.

W pismie amerykańskiem „*Putmans Monthly*“ opowiada pewien nurek w następujący sposób swoje ciekawe przygody na dnie głębiny morskiej:

„.....Niedawno rozbił się był o strome wybrzeża Nowej Fundlandyi paropływ kupiecki „Marmion.“ Nieostrzeżony przez żadną barkę rybacką, uderzył zapewne o jakąś rafę, i zatonął w jednem oka mgnieniu. Morze nie wydawało się w tem miejscu nazbyt głębokiem. Byłoto już dosyć dla odważnego nurka, aby go zachęcić do spuszczenia się na dno morskie. Powziąłem pierwszy ten zamysł, a opowiedziawszy go moim towarzyszom, znalazłem kilku ochoczych uczestników wyprawy. Porobiliśmy spiesznie potrzebne przygotowania, i wyruszyło nas sześciu na małym statku ku owej stronie wybrzeża, gdzie zatonął Marmion. Morze było ciche i spokojne; na niebie tylko pokazywały się tuowdzie małe podejrzane chmurki; lecz nie zważaliśmy na nie bynajmniej.„

*

Przybywszy do kresu naszej wyprawy, nie znaleźliśmy na powierzchni morza najmniejszego śladu okrętu. Potrzeba było wybierać sobie na los szczęścia punkt operacyjny. Zatrzymał się tedy na pewnem miejscu nasz statek, a ja z jednym wypróbowanej odwagi towarzyszem Rimmerem, przywdziałem natychmiast strój i wszelkie przybory nurka. Pozakładaliśmy obadwaj zwyczajne w takim razie kołpaki, pospinali suknie, i przymocowali do nóg wagi ołowiane.

„Jakoś strasznie czarno na niebie!“ — rzekł Rimmer do mnie.

„To mgła“ — odpowiedziałem wesoło. — „Wszystko jak najlepiej nam wróży!“

„Niekoniecznie!“ — mruknął Rimmer głucho pod swoim kołpakiem.

Nie zważając na to, dałem natychmiast znak, aby nas w morze wpuszczono. Wnet byliśmy już w pół drogi. Ja brnąłem naprzód, Rimmer za mną. Za chwilkę byliśmy obadwaj na dnie morskiem. Przed nami jeżył się jakiś czarny chropowaty przedmiot. Byłato niezawodnie wielka stroma skała.

Trąciłem Rimmera, i poszedłem wprost na nią.

Nie umiałbym wypowiedzieć, jakim wrażeniom ulega człowiek gdy po raz pierwszy spuszcza się w otchłań morską. Jest tam tyle dziwów i cudów, że trudnoby zdać sprawę z uczuć, jakie ogarniają człowieka podczas podobnej niebezpiecznej podróży. Oto np. znajdujemy się w bezmiernej głębi. Oko nasze nie może sięgać w dal, zdaje się że jakaś gęsta sina mgła oblewa nas dokoła, i siłę wzroku przytępia. Oprócz lekkiego plusku, który własnemi sprawiamy krokami, nie słychać najmniejszego szmeru. Stąpamy raźnie naprzód ku skale, przyczem ciężkie i niedogodne przybory nasze nie zawadzają nam wcale, i najmniejszej nie sprawiają trudności.

W około nas, wiły się gromady ryb przeróżnych kształtów i rozmiarów. Przemykały one zwinnie obok naszych postaci, igrając po wodzie, lub goniąc się wzajemnie. Po jednej stronie pląsała w niezgrabnych susach ćma delfinów, po drugiej wznosił się roch ku powierzchni, tu kręciło się nieprzeliczone mnóstwo drobnych rybek, tam kołysały się leniwie groźne potwory morskie.

W górze nad nami chwiała się łódź nasza na grzbiecie bałwanów, jak lekka ciemna chmurka na niebie. O jakich sto kroków przed nami okazała się w wyraźniejszych zarysach owa wielka skała z czarnego gagatu, którąśmy najpierwej spostrzegli. Obok skały jeżył się jakiś inny, obcy przedmiot. Rimmer trącił mię żywo, i wskazał nań oczyma. Zrozumiałem znak jego, i obadwaj przyspieszyliśmy kroku. Niebawem ujrzeliśmy przed sobą pokład Marmiona. Byliśmy więc u kresu naszej niebezpiecznej podróży!

Wtem trącił mię Rimmer znowu, i wskazał ręką do góry. Podniosłem oczy, a zimny dreszcz przeszedł mię od stóp do głowy. Cała powierzchnia morza wrzała i żżymała się; pieniste bałwany kłębiły się nad naszemi głowami. Byłyto pewne oznaki burzy, w dwójnasób strasznej w położeniu naszem.

Mamyż się wrócić? pomyślałem — wrócić — będąc już u kresu naszych poszukiwań? Tuż obok nas leżał okręt. Nie, nie — rzekłem sobie, i przezwyciężywszy przestrach pierwszej chwili, dałem znak Rimmerowi, aby szedł dalej.

Skała gagatowa przybrała teraz jakąś ponurą, złowrogą postać. Wymulona po kątach, okryta ona była całkowicie muszlami i rośliny wodnemi. Poza wyskokiem jednej chropowatej krawędzi leżał przedmiot naszych poszukiwań — rozbity paropływ „Marmion“. Wciśnięty między dwie skały, stał jego tułów cało i prosto, jakgdyby w bezpiecznej zatoce portu. Przyspieszyliśmy jeszcze kroku, i stanęliśmy wkrótce na niższym pokładzie okrętu. Nie można było tracić ani chwilki. Jakieś głuche mruczenie wody zdawało się przypominać owo grożące niebezpieczeństwo. Rimmer skoczył cożywo do kajuty, ja pobiegłem ku tylnej części okrętu, i spuściwszy się po drabinie do warsztatu ciesielskiego, spieszyłem ztamtąd do składu ładunków. Wtem obiło się o uszy moje ciężkie stąpanie człowieka, który w śmiertelnej trwodze zdawał się biegać po pokładzie. Stanąłem jak wryty. Strasznie było słyszeć takie prędkie, niepewne, drżące stąpanie ludzkie na dnie głuchej głębiny morskiej.

Lecz byłyto tylko kroki Rimmera na wyższym pokładzie. Skoczyłem co prędzej ku drabinie, i w kilka chwil znalazłem się już przy nim. Był on jednakże w jakimś dziwnym stanie. Pochwycił mię silnie za ramię, i wskazał ręką ku kajucie. Chciałem wejść do niej. Rimmer zaskoczył mi drogę, i z obłąkanym prawie wyrazem oczu wskazał w górę ku naszej łodzi. Zdawał się wzywać mię koniecznie do powrotu.

Nic okropniejszego nad te nieme znaki, któremi przestraszona dusza objawić chce wolę swoją, jeśli żadnego innego nie ma spo-

sobu. Podobne znaki robił mi Rimmer. Nie mogłem ani widzieć jego twarzy, ani słyszeć głosu, a poznałem przecież, że jakaś śmiertelna trwoga ogarnęła go w tej chwili.

Odpowiedziałem mu znakiem, że chcę wejść koniecznie do kajuty. Załamał ręce ze zgrozą, a nie miał odwagi ani zatrzymać mnie, ani pójść za mną.

Dla Boga cóż tam być może! — pomyślałem. — Cóż do tego stopnia przejąć mogło strachem tak odważnego nurka?

Spieszyłem wszakże naprzód. Niebawem stanąłem w drzwiach kajuty, i wskoczyłem do sieni. Tu wszędzie było prózno i pusto. Zacząłem już natrząsać się gniewnie z Rimmera. Tego tchórza nie wezmę więcej z sobą — mruknąłem. Wtem jakieś smutne myśli ogarnęły mię naraz. Cóż za wrzask i płacz musiały obijać się o te ściany gdy okręt zaczął tonąć! Jeden tylko marynarz, obeznany z podobnemi scenami, może wystawić sobie, jakie uczucia przenikają wówczas serce człowiecze.

Wśród podobnych myśli przybliżyłem się ku tylnej kajucie. Lecz przebóg!

Gdybym nagle konwulsyjnem wytężeniem ręki nie pochwycił był za ramę drzwi, byłbym powalił się na ziemię z przestrachu i odurzenia. Stałem jak przybity do ziemi. Przed oczyma mojemi odsłaniał się przerażający widok. Grono trupów obojej płci zapełniało kajutę. Śmierć zaskoczyła nieszczęśliwych podróżnych w jednem miejscu pospołu. Leżeli teraz przed mojemi oczyma w jakiejś okropnej, przerażającej postawie. Widoczna było, iż za pierwszem uderzeniem okrętu o skałę podmorską pospieszyli wszyscy ku drzwiom. Lecz fala była prędsza od nich, i pochłonęła ich wszystkich razem. Jeden z trupów z wyrazem obłąkanej bojaźni w twarzy, trzymał się stołu obiema rękami; inni poprzyczepiali się do belek, a znowuż inni do ścian kajuty. Jeden chciał przeleźć przez stół, lecz pozostał na wierzchu, trzymając się obiema rękami wielkiego żelaznego gwoździa u powały. Najwięcej trupów leżało przy drzwiach, snać biegli na wyścigi ku pokładowi, a przed progiem kajuty spotkali się z bałwanami, i potonęli na miejscu. Żaden nie wypuścił z ręki tego, czego się uchwycił w ostatnim momencie życia. Każdy zwrócony był ku drzwiom, i zastygłem okiem spoglądał przed siebie — spoglądał w tej chwili na mnie. We mnie to utkwiły teraz wszystkie te przerażające, okropne oczy, w których zamiast ognia młodości lśnił lodowaty połysk śmierci. I przeszywały mię wszystkie nawskroś, a pod widmowym ich urokiem krew zlodowaciała mi w żyłach. I dodać jeszcze do tego straszliwe wykrzywienie każdej twarzy, spaczonej szkaradnie wrażeniem trwogi, zgrozy, rozpaczy i tysiąca innych wzruszeń śmiertelnych! Co wszystko tysiąckrotnie powiększało okropność każdego oka, okropność wszystkich spojrzeń ze szkła i lodu, utkwionych teraz we mnie. Ze wszystkich przecież postaci najstraszniejszym był człowiek stojący na stole. Długie, czarne, dziko powiewające włosy, takieżsame wąsy i broda, nadawały mu podobieństwo do jakiegoś demona.

Nie zważałem na groźne wzdymanie się morza, gdym wstąpił na pokład „Marmiona". Potrzeba było dziesięć razy większej burzy na powierzchni, aby wpływ jej dał się uczuć na dnie morskiem. Tymczasem burza znacznie się powiększyła, morze zaczęło poruszać się już i w głębi.

Wszystkie okropne postacie trupów wstrzęsły i poruszyły się naraz w moich oczach. Najstraszniejsze ze wszystkich widmo, owo stojące na stole, drgnęło gwałtownie, rozwarło nagle ramiona, wyszczerzyło zęby, i jednym susem skoczyło ku mnie. Zacząłem uciekać w obłąkaniu. Zdawało mi się, że straszydło ze stołu, a za niem reszta trupów, ścigają mię w biegu szalonym. Chciałem jednym skokiem być na powierzchni morza. Zacząłem więc zrywać ołowiany ciężar z nóg obu. Lecz przestrach odejmował mi przytomność. Wśród wielkich trudów oderwałem kulę z jednej nogi; z drugiej było to niepodobieństwem. Straciłem już wszelką nadzieję. Z dziką rozpaczą poddawałem się już losowi.

Lecz gdzież Rimmer? — pomyślałem nagle. Zapewne powrócił do łodzi. Świadczyły o tem kule z obudwóch nóg, które tuż obok siebie ujrzałem. Rzuciłem okiem w górę, łódź nasza chwiała się ciągle na falach, prosto nad moją głową. Prędzej! prędzej! pomyślałem. Przestrach dodał mi nowych sił. Rzuciłem się co tchu ku drabinie, zbiegłem na dół, i stanąłem wnet u drzwi!.... Śmiertelny dreszcz przeszedł mię na wskróś...... Drzwi były zamknięte!

Zamknęłaż je ręka ludzka, czy który z trupów kajuty? Czy może owe widmo okropne, które mię tak piekielnym przejęło strachem?

Wróciłem się w istnem obłąkaniu na pokład. Lecz potrzeba było uciec koniecznie z tego przybytku śmierci i zgrozy, a innej

drogi nie było. Zbiegłem więc napowrót po drabinie, i chciałem drzwi podważyć. Wszystko naprózno! Wysilenia moje nie przyniosły żadnego skutku. Drabina trzeszczała podemną, lecz drzwi nie uchylały się wcale. W tej chwili nawinęła mi się pod rękę sztaba żelaza. Za jej pomocą podwoiłem moje trudy; drzwi odchyliły się nieco. Obok mnie leżała kupa rąbanych drew. Zacząłem tedy wbijać jedno polano po drugiem w odchylony cokolwiek otwór. Lecz praca szła nadzwyczajnie powoli. Przez dłuższy już czas wytężałem wszystkie siły, a uzyskałem zaledwo otwór na cztery cale — zamało dla mnie.

Morze tymczasem wzdymało się coraz gwałtowniej. „Marmion" chwiał się w głębinie na wszystkie strony. Nagle pochylił się ku jednej stronie, i powalił się na bok.

Zacząłem biegać jak szalony po okręcie, szukając innego wyjścia. Nie było żadnego. Powróciłem tedy do moich drzwi, i usiadłszy tam na drabinie, czekałem śmierci z rozpaczą. Widocznem było że niemasz już najmniejszej nadziei ocalenia. Chodziło tylko o bliższą lub dalszą chwilę zgonu.

Atoli okręt kołysany ciągle falami, nagle znowu się zachwiał, a po chwili stanął prosto jak pierwej.

I trzeszcząc i skrzypiąc zaczął kręcić się w koło. Ja tymczasem skoczyłem cożywo ku drzwiom, i o dziwo! za jednem pchnięciem rozwarłem je teraz na oścież. Wnet brnąłem już po dnie morskiem. A byłato już chwila ostatnia, bo tuż po mojem wyjściu przewrócił się okręt na nowo.

Wytężając wszystkie siły swoje, zerwałem przymocowany do nogi ciężar, i uwolniłem się wreszcie z ostatniej z przeszkód moich. Natychmiast zacząłem wznosić się w górę, a w kilka chwil spłynąłem już na powierzchnię.

Dzięki Bogu! łódź nasza stała ciągle na miejscu. Dzielni moi towarzysze spostrzegli mię z daleka. W jednej chwili przyspieszono mi w pomoc, i byłem ocalony.

Rimmer właśnie wtedy umknął z okrętu, gdy szedłem do kajuty. Pozostał jednakże w łodzi, aby mi w każdym razie przynieść ratunek. Za dni kilka porzucił zawód nurka, i jest teraz kapitanem okrętu. Ja pozostałem przy mojem rzemiośle, lecz spuszczam się tylko do takich okrętów, z których osadę ocalono podczas rozbicia.

Nie potrzebnie dodawać, że po moich przygodach nikt nie odważył się odwiedzić „Marmiona" na dnie otchłani morskiej.

Stare figle. „Pukarzewski zacny dworzanin króla Zygmunta Starego" — opowiada pewien znakomity spółczesny — „prosił na wieczerzę Lulę Skotnickiego, takież dworzanina króla J. M., i był mu tak rad, że go od rozumu odpoił, tak że kiedy już na nogach stać nie mógł, sługi jego jedne do gospody odprawił, drugie pozamykał, a pana tak śpiącego kazał sługom swym nieść do jednego sklepu, już na to nagotowanego, i tam kazał go wsadzić w łańcuch i w pęta, i zamknąć kilkiem kłotek, straż u drzwi przystawiwszy. Skotnicki iż był okrutnie pijan, jeszcze ktemu na wiatr wyniesiony, kęs jeden onego nie czuł. Owa przespawszy kilka godzin jako umarły, ocknie się nadedniem, i woła: Coż się dzieje! ki mię diabeł tak wsadził, przebog gdziezem? A jest tu kto? ozwij się proszę. Gdy na pierwsze wołanie nic mu nie odpowiedziano, pocznie znowu wielkim głosem wołać. Jest tu kto? przebog cię prosze ozwij mi się. Dopiero się straż nauczona odezwała, mówiąc: Owom ja sam i z drugimi, czego chcesz? Rzecze zasię Skotnicki: A ty ktoś miły bracie? Odpowie mu: Straż nad tobą, abyś się nie wyłamał. Zaś Skotnicki powie: A prze pana Boga proszę, ktoż mię to, i prze ktorą przyczynę, w te zelaża wsadził? Odpowie straż: A wierę nie wiesz: dowiesz się gdy cię we dnie na plac wywiodą. Tu Skotnicki: Czas panny Maryej! A pomilczawszy trochę, rzecze zaś: Ale moj najmilszy bracie, prze boskie miłosierdzie proszę, wżdy mi powiedz, com uczynił, bo ja, na Bóg ci to żywy przysięgam, nie wiem ani pomnę, abym co najmniej przeciwko komu wystąpił. Straż zasię tak powiedziała: A za nie pomnisz żeś poczciwą dzieweczkę porwał, i ojcaś, gdyć jej wziąc bronił, zabił. Skotnicki dopiero krzyknie: A niestetyż, narodziwszy się mnie na ten świat! a bezecne pijaństwo do czegożeś ty mnie przywiodło, iż oto marnie a sromotnie gardło dać muszę. Czemużeś ty mnie radniej miły panie, w onych potrzebach gdziem bywał zginąć nie dał, iżbych był nigdy na katowskie rece nie przychodził. Ha Pukarzewski przyjacielu, przysiedzieć mi twego wina, aby cię było pierwej w sztuki siekano, niżem ja do twej gospody iść pomyślił. Ach nędzni moi przyjaciele to teraz weźmiecie ze mnie cześć; dlategoście mię jednak do dworu wyprawili, abych was tą zmazą i wieczną sromotą pocieszył. Owa tego lamenta było z pół godziny; nakoniec jął pytać straży: A moi mili braciszkowie, wiele was tu mnie strzeże. Odpowiedział mu inny już z onej

straży, a nie ten co pierwej. Sześć nas tu, prawi. A Skotnicki zaś: Kiedyby jeden chciał uczynić to miłosierdzie nademną, a iść po którego mego sługę. Odpowiedziano mu: A co mniemasz, aby ci wolni byli; w takowemć więzieniu są jak i ty. A Skotnicki znowu: A nieszczęsny ja człowiek, czegożem ja to doczekał! Także po długiem siebie przeklinaniu uprosił jednego z nich, iż szedł, gdy dnieć poczęło, do pana Kaspra Maciejowskiego, który o wszystkiem wiedział, i był pogotowiu, a ten dopiero kiedy przyszedł z drugimi towarzyszami, poprawił tak dobrze, iż nieborak Skotnicki ledwo nie umarł od strachu. Aż wżdy nakoniec zlitowali się nad nim, w rzeczy to do tego, to do owego pana sząc o przyczynę, przywiedli rzecz ktemu, iż na ślubie z więzienia wyszedł, a przejednywać miał stronę, na oczy krolewskie aż przejednawszy nie przychodząc, a jeśliby się strona jednać nie chciała, tedy do takowegoż zaś więzienia wrocić sie miał. Wtem gdy za łaskawe staranie panu Maciejowskiemu dziękować począł, strzymać dalej śmiechu drudzy nie mogli: rzecz sie wszystka odkryła. Skotnicki mimo strach jeszcze się długo wstydzić musiał, gdy to ten, to ów, łańcuch a pęta wspominał. Więc iż go tem często drażniono, często też i on o tem myślił, jakoby ten żart Pukarzewskiemu oddał. Owa raz, w rok podobno potem, obaczył Pukarzewskiego podpiłego, i uprosił go do swej gospody, a tam dognawszy go do upaści, iż i ręką i nogą władać nie mógł, i pacholę jego (bo tylko to miał natenczas Pukarzewski przy sobie) po sługi do gospody posławszy, barwierza hnet, ktoremu ufał, przyzwał, i rozkazał mu, aby Pukarzewskiemu spiącemu pół gęby zalawty zaprawił. Barwierz posłuszny hnet to sprawił, zalawty wargi spoił, plastr przyłożył, chustami owinął głowę, i przeniosł go na inną lepszą pościel, ktorą tamże w izbie Skotnicki posłać był rozkazał. Przyjdą potem słudzy z pacholęciem nierychło, bo daleko gospoda była, widzą iż pan z zawitą głową leży, a barwierz instrumenta zbiera, a maści chowa; pytają coby się to działo. Powiedzą im drudzy (bo sam Skotnicki żałując w rzeczy przygody onej, płakał, w głowach u Pukarzewskiego siedząc) iż ten a ten (ktory tamże był, niż chłopię po sługi odeszło) pana im przez twarz ranił. Słudzy acz się mścić onego chcieli, ale iż nie było wiedzieć, gdzieby się winowajca schował, sam też Skotnicki powiedział, aby dali pokoj, ponieważ pana ich jest z to, że się sam wyzdrowiawszy pomścić może, zaniechali wszystkiego. I tak jedni zostali przy panie, drudzy odeszli do gospody. Potem w nocy ocuci się Pukarzewski, obaczy łeb zawity i rzecze półgębkiem: Ki diabeł, coż mi się stało? Chłopiec jesteś tu, rozświeć. Hnet się chłopiec porwie, idzie do pana, i pyta co w. m. raczysz? abo w. m. źle leżeć? Odpowie Pukarzewski: Ba dobrze mi leżeć, ale mi to ki diabeł w gębę. Chłopiec odpowie. A za w. m. nie pomnisz, iż w. m. wczoraj ten a ten ranił. Zaś pan: Ja tego kęs jeden nie pomnę, ani czuję, aby mię bolało. W tem rzecze chłopiec: Prze pana Boga, nie racz w. m. wiele mówić, bo nam barwierz rozkazał, abyśmy z tego w. m. upominali. Także gdy przyjdzie dzień, pyta jako się co stało? Powiedzą mu rzecz wszytkę zmyśloną, a chłopiec jego własny onegoż potwierdza, bojąc się, aby go pan nie bił, gdzieby powiedział, że natenczas odszedł był od niego. Przyjdzie barwierz do oprawowania, odwinie mu głowę, a Pukarzewski rzecze: Miły barwierzu, namniej ta rana nie boli, co się to dzieje? Odpowiedział barwierz: Takto widzi w. m. zmartwiało ciało od razu, ale po trzecim abo czwartym dniu poczujesz to w. m. Zaś powiedział Pukarzewski: A bodajże go zabito, mógłci wżdy gdzie indziej trefiać, niż przez gębę; a toć ja mężatek nie miłuję, a wżdy mię pan Bog takową raną nawiedził. Barwierz poszypławszy trochę, puścił knot między zalawty, przyłożył znowu plastr, zawinął, i rzekł, aby mu dał od wczorajszej pierwszej oprawy. A Pukarzewski hnet parę czerwonych złotych dać mu rozkazał, i prosił aby go rychło wygoił. Odpowiedział barwierz. Dali Bóg w. m. rychło zdrów będziesz, jednoby panie mówić nie trzeba, i z tem odszedł. Przyjdzie czas obiadu, mięsa jeść nie śmie, aby żwaniem nie poruszył hawtow, także się trochę kontuzu napije, i położy. Po obiedzie przyjdą towarzysze nawiedzać, którym już był Skotnicki o wszystkiem powiedział, pytają go na zdrowie, przemowi półgębkiem prosząc, aby za złe nie mieli, iż mówić nie śmie, bo mi prawi, zakazał barwierz. Wyrwie ten to, ten owo pytać, a on jedno przyzwala głową, a milczy. Owa tego tak długo było, iż się żadną miarą drudzy strzymać nie mogli. Poczną się śmiać; a Pukarzewski domyśliwszy się, iż to już Skotnickiego sprawa, zawoj on uderzył o ziemię, a zalawty rozparzywszy dragant, odjąć kazał. Śmiechu było dosyć, a zwłaszcza że on więcej barwierzowi wierzył, niż sobie, czując to, że go kęs jeden nie bolało. Po-

wiadają drudzy, iżby tam nie było zalawtu żadnego; ale skora tylko była lina w rosole uwarzonego, którą nie tylko połgęby, ale i obie oczy kazał mu Skotnicki zalepić".

Nauka pisania listów. Pod tym tytułem wyszła świeżo w języku angielskim mała książeczka, zawierająca po większej części tak trafne uwagi i nauki, że mogłaby w wielu względach takim nawet osobom rzeczywisty przynieść pożytek, które posiadają już niejaką łatwość i wprawę w stylu listowym. Autor przenosi się sam w tysiączne usposobienia i położenia pisarzy listów, i podaje na każdy osobny wypadek osobną, zdrową i skuteczną rade, nie zamieszczając przecież owych rozlicznych wzorów do naśladowania, jakiemi wszystkie inne dzieła podobnego rodzaju przysługują się zazwyczaj tak bezowocnie. Wyjmujemy tu kilka ogólnych uwag autora, którym w istocie nie można odmówić wartości praktycznej. „Każdy list powinien nosić w górze datę i adres piszącego. Nie powinniśmy nigdy przypuszczać, że adres nasz nie może się przydać osobie, do której piszemy. W każdym liście potrzeba zaraz w początku zmierzać wprost do rzeczy, do właściwego przedmiotu. Stanowi to główną zaletę stylu listowego. Zważmy tylko, jak żywo zajmuje nas każdy wstępny artykuł dziennikarski, w którym zaraz po pierwszych słowach dowiedzieć się możemy; o co właściwie rzecz idzie! Nie masz dalej nic śmieszniejszego w listach od przypisków czyli tak zwanych *postskryptów*. Jestto bowiem zwyczaj o tyle niedorzeczny, o ile niepotrzebny i zbyteczny. Osobliwie kobiety lubią pisywać listy długie acz bez najmniejszej treści, a jedyny ważniejszy przedmiot, jedyna główniejszą rzecz zamykaja w podobny przypisek. Nie sadźmy jednak, aby zwyczaj ten był ogólnym, bo nazbyt widocznie jest śmiesznym i niedorzecznym..... Łatwiej jest napisać list długi niż krótki. Dlategoż potrzeba starać się ile możności o wyrażenie się krótkie i zwięzłe. List długi może wprawdzie bardzo łatwo uspić czytajacego, lecz ktoż pragnie takiego skutku? Jeśli komu przychodzi za trudno objawić w krótkości myśl swoją, niech list swój przepisze na nowo. W ciągu przepisywania pozna z łatwością, ile niepotrzebnych frazesów, słów a mianowicie przymiotników użył. Wtedy niejedno „wielkie", „nadzwyczajne", „cudowne", „niezmierne", „niezrównane" wyda mu się wcale zbytecznem i niepotrzebnem, a czasem nawet przeciwnem pierwotnemu znaczeniu".

Kwiat osobliwszy. Na wzgórzu w pobliżu francuskiego miasteczka *Cette*, pojawił się tego lata szczególniejszy, nigdy przedtem niewidziany w tych stronach kwiat, z rodzaju aloesów. Mieszkańcy miasteczka spiesza tłumami oglądać tę wspaniałą roślinę, która z środka swojego wypuściła grubą łodygę na siedm metrów francuskich wysokości. Drobne i gęste gałązki jakby koroną otaczaja wierzchołek łodygi, która ciągle jeszcze wzbija się w górę, a na samym szczycie nosi pączek przyszłego kwiatu. Aloes pochodzi pierwotnie z Ameryki środkowej. Według tradycyi Mexykanów kwitnie on tylko raz w 400 lat, co oczywiście jest nieprawdą. Jak rzadkim we Francyi, tak zwyczajnym bywa ten kwiat w Hiszpanii i we Włoszech. W Palmie, stolicy wyspy Majorki, cały wał dokoła miasta wysadzany jest olbrzymiemi aloesami, które od wieków krzewią się na tem miejscu. W niejednem zaś domu palmeńskim można znaleźć 300 do 400 podobnych kwiatów. Czas kwitnięcia aloesu, bywa zazwyczaj kresem jego życia. Wypuszczenie z siebie długiej łodygi wysila do tego stopnia wspaniałą roślinę, że najczęściej usycha zaraz po rozwinięciu się paczka.

Indyjskie obrzędy weselne. Nie masz nic ciekawszego a zarazem i dziwaczniejszego jak uroczystości weselne indyjskich mieszkańców Bombayu. Odbywają się one wśród zagłuszajacych krzyków i wrzasków, po większej części w miesiącach grudniu i styczniu. Tłumne pochody weselne przeciągają wówczas zarówno w dzień jak i w nocy po wszystkich ludniejszych dzielnicach miasta. Na czele pochodu kroczy zazwyczaj muzyka, składająca się z samych prawie bębnów i kotłów. Za muzyką postępuje orszak Indów z mnóstwem bukietów, wieńców i sztucznych kwiatów. Za nim na dwóch świetnie przystrojonych koniach jadą oboje państwo młodzi — chłopczyna i dziewczę o sześciu lub najwiecej siedmiu latach. Pan młody ma na sobie zwyczajnie strój angielskiego jenerała, srebrne szlify u ramion, a kapelusz z pioropuszem na głowie. Niemniej strojną jest także panna młoda. Ubior jej bywa albo na wzór europejski albo też narodowy, zawsze jednak lśnący i wspaniały. W tyle za nowożeńcami postępuje liczny orszak krewnych i zaproszonych. Pochód taki zapełnia całą ulicę, a w nocy odbywa się przy blasku pochodni. Cała uroczystość weselna trwa kilka dni. Widzowie europejscy podziwiają szczególniej malowniczość pochodu w nocy, przy łunie tysiąca świateł jarzących.

Przytomność umysłu. Hrabia de Phélippeaux był posłem francuskim przy dworze Wiktora Amadeusza Sabaudzkiego, gdy Ludwik XIV, nie ufając dalszej polityce sabaudzkiej, kazał nagle otoczyć i rozzbroić wszystkie wojska piemonckie, znajdujące się na stopie sprzymierzeńców w granicach ziemi francuskiej. Postępek ten dotknął żywo Wiktora Amadeusza. W pierwszym gniewie kazał przywołać do siebie posła francuskiego, i wśród gwałtownych wyrzutów, zbliżył się nagle do niego, porwał go za guzik od sukni, i szarpiąc nim z całej siły, zawołał: „Wiedziałeś o tem, mój panie, wiedziałeś o tem!„ „Być może" — odparł pan Phélippeaux spokojnie — „lecz mój guzik nie wiedział." A mówiac to, cofnał się o krok w tył, i spuścił rękę ku szpadzie, jakgdyby chciał dać poznać, że przy bystrym dowcipie posiada i serce nieulęknione.

Przypowieści. — Pewne cudowiska natury. Jeźli kiedy kto ujrzy uchyliwszy powiek: — Iż pokornym małego wzrostu będzie człowiek — Sucby prostakiem, biały śmiałym; chmurnooki — Nie oszust, rudy wiernym, uważnym wysoki, — Ubogi nie zawistnym, uczynnym bogaty, — Nie gamratem psotliwym na ciele kosmaty, — Jaskrawy nie naśmiewca; łagodnie mówiący — Nie obmowcą, nie frantem człek uśmiechający — Bełkot nie zapalczywym, z którym się żart ślisko — Wiedzie: tedy natury to jest cudowisko.

Trzy rzeczy w oknie szkoda pokazować. Trzy rzeczy pokazować w oknie źle się zdarza — To jest: żony, krzesiwa, tudzież kałamarza. — Żonę kto upodoba, krzesiwo zmięknieje, — Kałamarz z surowewego powietrza zblednieje.

Cztery rzeczy przeciwne i niepotrzebne. Mazur gdy zwłoszeje — Hołysz spanoszeje — Sowa zjastrzębieje — Chłop łaciną sieje.

Główny Redaktor M. Szrzeniawa Sartyni. *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*